

# MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9  
róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek  
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.

Sprzedaż materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

MAURYCY LEBLANC.

## WYDRAŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

21

(Ciąg daleczy).

Beautrelet jak szalony chwycił za żelazne drzwi, w które wmurowane były cegły i czempredzej je zamknął. Zdziwienie, radość, strach, by go nie spostrzeżono, zmieniły mu twarz nie do poznania. Przed oczami przesunęło mu się w jednej chwili to, co przez przeciąg dwudziestu wieków działo się przed temi drzwiami, ujrzał jakby wszystkie osoby wtajemniczone w ten wielki sekret, wszystkich, kto wchodził w ten otwór... Celtowie, Gallowie, Rzymianie, Normandowie, Anglicy, Francuzi, baronowie, książęta, królowie, a po nich wszystkich Arseniusz Lupin... i wreszcie po Lupinie on, Beautrelet. Uczuł, iż w głowie wszystko mu kołuje. W oczach mu pociemniało. Upadł zemdlony i stoczył się po pochyłości aż na sam jej kraj...

Zadanie jego było skończone, przynajmniej ta część zadania, którą mógł dokonać sam bez obcej pomocy. Wieczorem napisał do dyrektora policji obszerny list, w którym wyłożył wiernie rezultaty swego badania i odkrył tajemnicę Igły wydrażonej. Jednocześnie prosił o umożliwienie dokończenia swego dzieła i w tym celu podał swój adres.

Oczekując odpowiedzi, dwie noce z rzędu spędził w pokoju panińskim. Były to noce trwogi i niepokoju... co chwila wydawało mu się, iż jakieś cienie zbliżają się do niego. Wiedzano już o jego obecności w grocie... przychodzili, by go zadusić. Mimo to wzrok jego, podtrzymywany wysiłkami woli ani na minutę nie schodził z przeciwnego muru.

Pierwszej nocy nic się nie ruszało, lecz w następnej ujrzał w świetle gwiazd i księżyca, jak drzwi się otwierają i wysuwają się z nich jakieś postaci. Naliczył ich dwie, trzy, cztery, pięć... Zdawało mu się, że pięciu tych ludzi niosło jakieś ciężkie pakunki, poszli wprost przez pola aż do drogi wiodącej do Hawru, tam zniknęli w mroku, dosłyszał natomiast hałas oddalającego się samochodu.

Poszedł za nimi i dotarł do wielkiej fermy. Na zakręcie jednak drogi ledwie zdążył przeskoczyć przez pień i schować się za drzewami. Znowu ukazało się czterech... pięciu ludzi, wszyscy z dwoma pakunkami. W dwie minuty potem odjechał nowy samochód. Tym razem nie miał już siły powrócić na swe stanowisko, lecz udał się do hotelu.

Rano po przebudzeniu służący przyniósł mu list. Rozpieczętował go i znalazł w nim bilet wizytowy Ganimarda.

— Wreszcie! — zawołał Beautrelet, który po tej istotnie ciężkiej kampanii odczuwał potrzebę wypoczynku, a przynajmniej pomocy dla siebie.

Pospieszył z wyciągniętymi rękami do drzwi. Ganimard uściśkał go serdecznie, popatrzył na niego przez chwilę i rzekł:

— Ależ z pana tegi zuch!

— Ech! — odrzekł — wypadek mi posłużył.

— Niema wypadku z nim, — zaprzeczył inspektor, który o Lupinie mówił zawsze z uroczystą miną, nie wymieniając jego nazwiska.

Siadł.

— A więc trzymamy go?

— Jak już trzymaliśmy go dwadzieścia razy — odrzekł Beautrelet z uśmiechem.

— Tak, lecz siadaj...

— Dzisiaj rzeczywiście są inne okoliczności. Znamy jego schronienie, jego podziemny zamek, który dowodzi tylko, że Lupin jest zawsze Lupinem. Może nam wynuć się. Igła z Etretat nie może nam jednak uciec.

— Dlaczego pan przypuszcza, że umknie? — zapytał zaniepokojony Ganimard.

— A dlaczego pan przypuszcza, że on będzie potrzebował uciekać? — odpowiedział Beautrelet. Nie mamy jeszcze żadnego dowodu, iż jest on istotnie w Igłę. Tej nocy wyszło z niej jedenastu jego współników. Mógł być jednym z tych jedenastu.

Ganimard zamyslił się.

— Ma pan rację. Najgłówniejszą rzeczą jest sama Igła. Co do reszty, może wypadki będą nam sprzyjały. Teraz porozumiejmy się.

Przybrał znowu swą uroczystą minę i zaczął:

— Kochany panie Izydorze, z powodu tej sprawy otrzymałem rozkaz, abym zobowiązał pana do najzupełniejszej tajemnicy.

— Rozkaz, od kogo? — rzekł żartobliwie Beautrelet. — Od prefekta policji?

— Jeszcze wyżej.

— Od prezesa ministrów?

— Jeszcze wyżej.

— Ho! ho!

Ganimard zniżył swój głos.

— Panie Beautrelet, przybywam wprost z pałacu Elizejskiego. Sprawę tę uważają za tajemnicę państwową niezmiernie wagi. Mają poważne powody, by nie rozgłaszać o tej podziemnej cytadeli... powody poważne strategicznie... Może ona się stać magazynem nowowynalezonego prochu, świeżo odkrytych materii wybuchowych, jednym słowem, ukrytym arsenałem Francji.

— Lecz w jakim sposób spodziewają się zachować podobną tajemnicę? Dawniej posiadał ją jeden tylko człowiek, król. Dzisiaj jest już nas kilku, którzy o niej wiemy, nie licząc bandy Lupina.

— Gdyby choć przez dziesięć lat, choć przez pięć lat zachować o niej milczenie!... Pięć lat może być w tym wypadku... zbawieniem!

— By zawiadnąć jednak tą cytadelą, tym przyszytym arsenałem, trzeba ją zaatakować, wyrugować z niej Lupina. A to wszystko nie obejdzie się bez hałasu.

— Zapewne, że będą się domyślali czegoś, lecz nic nie będą wiedzieli na pewno. A zresztą coś się traci, próbujemy.

— Dobrze. Jakież jest więc pański plan?

— Bardzo prosty. Przedewszystkiem pan nie jest Izidorem Beautrelet i niema żadnej sprawy z Arseniuszem Lupin. Pozostaje pan nadal młodym chłopcem z Etretat, który w swej włóczędce napotkał kilka podejrzanych osobistości, wychodzących z podziemia. Pan przypuszcza zapewne istnienie schodów, które przecinają górzysty brzeg z góry na sam dół.

— Tak, jest kilka takich schodów wzdłuż brzegów. Mówiono mi na przykład, że na prawo z Etretat wprost Beauville istnieją Dyabelskie schody, znane wszystkim mieszkańcom. Nie wspominam tu o trzech czy czterech tunelach, przeznaczonych dla rybaków.

— A więc ja z połową swych ludzi pójdę razem z panem. Wejdę sam lub w towarzystwie, to zależeć będzie od okoliczności. W każdym razie atak nastąpi z tamtej strony. Jeżeli Lupina niema w igłę, zastawimy na niego pułapkę i dziś czy jutro złapie się w nią. Jeżeli tam jest...

— Jeżeli jest, panie Ganimard, to ucieknie z Igły z drugiej strony od morza.

— W takim razie zostanie natychmiast schwytany przez drugą połowę mych ludzi.

— Tak, lecz jeżeli, jak przypuszczam, wybrał pan chwilę odpływu morza, kiedy odkryta jest skała, na której stoi Igła, wtedy polowanie stanie się jawne, odbywać się będzie wobec całego mnóstwa rybaków i rybaczek, zbierających się masami dla połowu krewerek.

— Właśnie dlatego wybrałem chwilę przypływu morza.

— Wtedy on ucieknie na barce.

— Lecz ponieważ ja będę miał z sobą cały tu-

zin barek, kierowanych przez mych ludzi, zostanie więc schwytany.

— O ile prześlizgnie się między tym tuzinem barek, jak ryba przez oczka sieci.

— Zgoda! Wówczas jednak posłę go na dno.

— Ech! Będzie pan miał z sobą armaty?

— Dlaczego nie. W chwili obecnej w Hawrze stoi torpedowiec. Gdy wysłę depeszę, znajdzie on się w oznaczonym czasie w okolicach Igły.

— Jakże Lupin będzie dumny! Cały torpedowiec!... Przekonywam się, że pan wszystko przewidział. Nie pozostaje więc nic innego, jak się wziąć do pracy. Kiedy zaczniemy atak?

— Jutro.

— W nocy?

— W dzień, podczas przypływu, punkt o dziesiątej.

— Doskonale.

Pod tymi pozorami wesołości ukrywał Beautrelet głęboki niepokój. Aż do następnego dnia nie spał wcale, układając coraz nowe nieziszczalne plany. Ganimard puścił go, by udać się o dwanaście kilometrów od Etretat do Iport, gdzie przez ostrożność naznaczył spotkanie swym pomocnikom i gdzie wynajął dwanaście rybackich barek niby dla sondowania dna wzdłuż brzegów.

O trzy kwadranse na dziesiątą w towarzystwie dwunastu silnych mężczyzn spotkał się z Izidorem na końcu drogi, wiodącej na nadbrzeżne skały. Punktualnie o dziesiątej znaleźli się wszyscy przed murem. Nastąpiła decydująca chwila.

— Cóż się z tobą stało, Beautrelet? Jesteś cały zielony! — roześmiał się Ganimard, tykając żartobliwie młodego ucznia.

— Dobrze, że ty, Ganimardzie nie widzisz się, możnaby sądzić, że wylata twa ostatnia godzina.

Musieli usiąść i Ganimard wypił kilka łyków rumu.

— Nie jest to straszne, lecz do stu dyabłów doznamy niepospolitego wrażenia. Za każdym razem, gdy mam go chwycić, coś mnie trzęsie za wnętrzności. Trochę rumu?

— Dziękuję.

— A jak pan zostanie po drodze?

— To znaczyć będzie, że nie żyję.

— Do licha! Zresztą zobaczymy. A teraz niech pan otwiera. Niema niebezpieczeństwa, by nas spostrzeżono?

— Nie. Igła jest bliżej od brzegu, a przytem zasłonięci jesteśmy wzgórzem.

Beautrelet zbliżył się do muru i nacisnął cegły. Mur się odchylił i ukazało się wejście do podziemia. Przy świetle latarni, jakie zaświecono, ujrzeni, iż było ono wybite w formie sklepienia i że to sklepienie jak i podłoga wyłożone jest całe cegłami. Szli przez kilka chwil i zaraz natrafili na schody; Beautrelet naliczył czterdzieści pięć stopni; wszystkie one były z cegły, wytartej jednak przez używanie środkiem.

— Psia krew! zaklął Ganimard, który szedł na przedzie i nagle zatrzymał się, jakby uderzył się o coś.

— Co takiego?

— Drzwi.

— Do licha — mruknął Beautrelet, przypatrując się im — nie łatwe do wyważenia. Jeden blok żelaza.

— Wszystko na nic, odezwał się Ganimard, niema nawet zamka.

— Właśnie to mi dodaje nadziei.

— Jakto?

— Drzwi są na to, by się otwierały, a ponieważ niema tu zamka, jest więc jakiś sekret, który je otwiera.

— A ponieważ my nie znamy tego sekretu...

— Zaraz go poznamy.

— W jaki sposób?

— Dzięki dokumentowi. Czwartą wiersz nie ma innego znaczenia, jak tylko to, by rozwiązał trudno-